Kosicki, Stanisław

1945-1948: "Młodzi Idą", "Przegląd Sportowy", "Kurier Popularny" : wspomnienia

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 29/3-4, 103-125

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

W S P O M N I E N I A

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej XXIX 3—4
PL ISSN 0137-2998

STANISŁAW KOSICKI (Warszawa)

1945—1948: „MŁODZI IDĄ", „PRZEGLĄD SPORTOWY", „KURIER POPULARNY" WSPOMNIENIA

Na początku stycznia 1946 r. Antoni Pokorski, wówczas sekretarz redakcji „Kuriera Popularnego", zaproponował mi napisanie okolicznościowego artykułu do numeru z 19 stycznia, dnia pierwszej rocznicy wyzwolenia Łodzi. Tak doszło do pierwszej mej publikacji w gazecie, z której redakcją miałem się wkrótce związać etatowo na blisko trzy lata.

Chętnie podjąłem się tego zadania. Publikacji swej nadałem formę osobistego wspomnienia o wydarzeniach tego ważnego, również dla mnie osobiście, dnia. Okupację, nie licząc dziesięciotygodniowego okresu spędzonego na kopaniu rowów przeciwczołgowych i okopów nad Wartą w okolicach Burzenina, między Sieradzem i Wieluniem, przeżyłem w Łodzi i tu doczekałem końca wojny. Wprawdzie na polach bitew nastąpił on dopiero w maju, ale dla mnie „czas po wojnie" zaczął się liczyć od owego pamiętnego mroźnego styczniowego dnia.

W pamięci mej utrwalił się po dziś obraz ulicy Zielonej, którą, kryjąc się pod murami kamienic, chyłkiem przemykali ostatni niemieccy żołnierze. Dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów karabinowych. Na skrzyżowaniu z jedną z przecznic mignął polowy samochód. Uspokoiło się i z wolna od Piotrkowskiej zaczął dochodzić szum wielotysięcznych ludzkich głosów. Gdy pobiegłem tam, znalazłem się w tłumie ciasno oblegającym stojące pośrodku ulicy czołgi. Łzy na twarzach wynędzniałych ludzi, okrzyki, śpiew. Przemawia jakiś oficer, ale trudno go zrozumieć.

Podobna atmosfera radości i entuzjazmu panowała 22 stycznia w Hali Sportowej położonej na skraju Parku im. Poniatowskiego. Pełno ludzi. Wezwały ich tu na Zgromadzenie Polaków plakaty rozwieszone w ciągu przedpołudnia na mieście. Przemawia pełnomocnik Rządu Tymczasowego. Z wypowiedzi jego wynika, że jest to łodzianin, łódzki robotnik... Po nim przemawiają przedstawiciele Wojska Polskiego, Armii Radzieckiej. Kolejni mówcy występują m.in. w imieniu PPR, PPS, SL, Związków Zawodowych. Później, po upływie pewnego czasu, zorientuję się, że to członkowie przybyłej z Lublina grupy operacyjnej. Teraz wraz z tysiącami zebranych żywo reaguję na ich słowa. Wszyscy śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła...", *Rotę* — „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz". Rozlegają się słowa *Międzynarodówki* i *Czerwonego sztandaru.*

Tuż po 19 stycznia zaczęła się organizować polska władza w mieście. Na ulicach rozplakatowano zawiadomienia o przybyciu do Łodzi pełnomocnika Rządu Tymczasowego. Wkrótce weszły oddziały Wojska Polskiego, zaczęły powstawać różne formacje Milicji Obywatelskiej. Myślałem, pobudzony przykładem jednego

z kolegów, o wstąpieniu w jej szeregi. Przez jedną noc pełniłem nawet służbę w dawnym komisariacie hitlerowskiej policji przy ul. Roosevelta (wówczas jeszcze Pierackiego, a kilka lat przed wojną — Ewangelickiej). Dyżurowałem w sekretariacie komendanta, wystukiwałem na maszynie przepustki, później z karabinem na ramieniu pilnowałem jeńców, wziętych w Łodzi do niewoli żołnierzy Wehrmachtu.

Ukazały się zawiadomienia o ukonstytuowaniu się polskiego magistratu. Zaczęła wychodzić polska gazeta „Wolna Łódź", pojawiły się różne komunikaty organizujących się partii politycznych. Jeden z nich głosił, że w lokalu przy ul. Andrzeja 46 rejestruje się członków PPS z terenu dzielnicy Prawa.

Był siarczysty mróz w owo styczniowe popołudnie, gdy udałem się tam w towarzystwie ojca. Spieszył on do swej partii, z którą w wieku około trzydziestu lat związał się w czasie I wojny światowej. Przez cały czas do 1939 r. był jej członkiem, z biegiem lat zaczął zaliczać się do jej robotniczego aktywu. Pełnił różne funkcje w klasowym ruchu zawodowym — w latach trzydziestych był wiceprzewodniczącym Okręgowej Komisji Związków Zawodowych w Łodzi, członkiem Zarządu Związku Pracowników Komunalnych i Instytucji Użyteczności Publicznej. Był zawsze do dyspozycji partii, zasiadał w komisjach wyborczych w czasie wyborów do Sejmu czy Rady Miejskiej, był ławnikiem w Sądzie Pracy, gdy trzeba było, rozdawał na ulicy ulotki albo roznosił je po mieszkaniach — takich samych jak nasze, robotnicze, jednoizbowe, w brzydkiej kamienicy przy ul. Zielonej. W czasie wojny nieustannie szukał kontaktu z rwącą się wciąż w Łodzi konspiracją pepesowską; szczęśliwie unikał aresztowań, gdy w ręce gestapo wpadali kolejni znani nam organizatorzy podziemnych szeregów PPS — Mater, Cobel, Cyrul. Kiedy w tych mrocznych czasach ich spotykałem — gdy przychodzili do naszego mieszkania albo gdy ja u nich bywałem, coś do nich przenosząc czy od nich odbierając, najczęściej na polecenie mego starszego o dziewięć lat brata Jana, przed wojną członka Wydziału Młodzieży PPS w Łodzi — nie myślałem o tym, że kiedyś po latach będę czytał ich nazwiska w opracowaniach o łódzkim podziemiu antyfaszystowskim.

Nic więc dziwnego, że wtedy w styczniu ojciec mój interesował się odnowieniem swej przynależności do tej właśnie partii. Zrazu był zdezorientowany. Nazwisko mówcy przemawiającego w Pałacu Sportu w imieniu PPS nic mu nie mówiło. Pierwszymi organizatorami PPS byli też ludzie nieznani. Zrozumiałe. Byli to członkowie przybyłej z Lublina grupy operacyjnej, ale to dezorientowało, budziło nieufność. Starzy członkowie PPS nawiązywali w tych dniach ze sobą kontakty, odwiedzali się, wspólnie się naradzali, wyrażali swe wątpliwości. Niektórzy wstępowali do PPR. Co to za partia? — pytali ci, którzy o niej jeszcze nie słyszeli. Kolejarz Mazurkiewicz związał się z peperowcami w czasie okupacji, gdy jako pomocnik maszynisty jeździł do Warszawy. Teraz został sekretarzem komórki peperowskiej w swoim miejscu pracy. Ojciec się zastanawiał, czy nie iść śladem niektórych jego przedwojennych towarzyszy. Zdecydował się, gdy na mieście ukazały się zawiadomienia o rejestracji członków PPS, podpisane przez Henryka Wachowicza.

Lokal PPS dzielnicy Prawa mieścił się przy ul. Żeromskiego, róg Andrzeja. Towarzyszyłem tam ojcu. Uważałem bowiem, że również moje miejsce jest w partii mojego ojca.

Zresztą nie pierwszy raz znalazłem się wtedy w pepesowskim lokalu. Już przed wojną bywałem w pomieszczeniach dzielnicy Prawa, w małym domku przy ul. Podleśnej. Mieścił się tam także oddział klasowego związku budowlanych. Później Komitet Dzielnicowy PPS przeprowadził się do dwupokojowego lokalu przy ul. Lipowej. Ojciec zabierał mnie na niektóre masówki czy okolicznościowe

akademie, czasem dostawałem do rozniesienia wśród członków plik zawiadomień, a gdy byłem już uczniem gimnazjum, porządkowałem niekiedy wraz z bratem w niedziele lub w czasie ferii książki w bibliotece.

Podpisałem wtedy w styczniu 1945 r. deklarację członkowską PPS, a także Organizacji Młodzieży TUR. Wręczył nam tymczasowe legitymacje PPS sekretarz Edmund Stankiewicz. Pod jego to kierownictwem zorganizował się w końcu stycznia 1945 r. Tymczasowy Komitet Dzielnicy Prawa PPS.

Ojciec znów wypełniał różne zadania partyjne. Jeszcze w trakcie zimy został skierowany do powiatu skierniewickiego jako gminny pełnomocnik do spraw świadczeń rzeczowych wsi. Przebywał tam przez kilka miesięcy. Było to, niestety, już ostatnie jego zadanie partyjne...

W tych pierwszych tygodniach po wyzwoleniu szybko wzrastały szeregi OMTUR, podobnie jak i innych młodzieżowych organizacji w Łodzi, zwłaszcza ZWM. Potrzeba działania w organizacji stawiającej przed sobą socjalistyczne cele mobilizowała liczne zastępy młodzieży, głównie robotniczej, do wstępowania do OMTUR. Pierwszym poczynaniom organizacyjnym towarzyszyło wiele zapału i entuzjazmu. W dzielnicy Prawa przewodził im Heniek Pawłowski, syn przedwojennego robotniczego działacza PPS, za kilka miesięcy oficer Ludowego Wojska Polskiego. U boku jego Zofia Smak, wkrótce jego żona, po kilku latach pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego. Jako aktywista dzielnicowej organizacji zostałem wybrany na delegata na odbywającą się 17 lutego 1945 r. w pofabrykanckim pałacyku w pobliżu Wodnego Rynku wojewódzką konferencję OMTUR, która powołała pierwszy Wojewódzki Komitet tej organizacji, na czele z Józefem Machno jako przewodniczącym i Wiesławem Kaczmarkiem — sekretarzem.

Oni to obaj, młodzieżowi i partyjni działacze, wkrótce stali się założycielami prasy OMTUR w Łodzi, Machno był moim starszym kolegą z gimnazjum, do którego uczęszczałem przed wojną. Z Kaczmarkiem połączyły mnie wkrótce więzi przyjaźni.

Decyzję o wydawaniu „Młodzi idą" w Łodzi podjęły władze centralne OMTUR, wkrótce po ukonstytuowaniu się Komitetu Wojewódzkiego. Pismo to ukazywało się przez wiele lat przed wojną, pod redakcją Stanisława Dubois, a zawieszone zostało przez CKW PPS za propagowanie jednolitego frontu socjalistów i komunistów. Po wznowieniu w 1944 r. w wyzwolonym Lublinie, ukazały się dwa jego numery, następne ujrzały światło dzienne na wiosnę już w Łodzi, dokąd jednak pismo to nie zostało przeniesione w taki sposób, jak były przenoszone inne tytuły prasowe. Redakcję „Młodzi idą" trzeba było zorganizować dosłownie od początku.

Któregoś dnia w lutym 1945 r. Komitet Dzielnicowy OMTUR Prawa wydelegował mnie na posiedzenie organizacyjne zespołu redakcyjnego, które odbyło się w lokalu „Robotnika". W naradzie wzięli udział J. Machno, W. Kaczmarek, redaktor naczelny „Robotnika" Jan Dąbrowski oraz grupa działaczy delegowanych przez OMTUR z poszczególnych dzielnic Łodzi. Na tym posiedzeniu ukonstytuowała się redakcja. Na jej czele stanął W. Kaczmarek. Podobnie jak on zostałem etatowym pracownikiem redakcji na stanowisku sekretarza redakcji. Etatowym oczywiście formalnie, ponieważ wynagrodzenia zrazu nie otrzymywaliśmy. Jeśli dobrze pamiętam, pierwszą pensję otrzymałem dopiero na przełomie kwietnia i maja, gdy wpłynęły pieniądze z kolportażu po rozprowadzeniu pierwszego numeru. Korzystałem za to bezpłatnie z obiadów w stołówce „Robotnika", na święta wielkanocne dostałem paczkę, zawierającą parę kilogramów mięsa, cukru, mąki. To było coś!

Znaczenie obiadów w tej stołówce nie ograniczało się wyłącznie do ich wartości odżywczej dla wygłodzonego organizmu. Przy długim stole, przy którym zasiadali redaktorzy i współpracownicy „Robotnika", czasem jacyś goście z War-

opinie o nim. W nowych warunkach, gdy PPS stała się partią współrządzącą, inicjatywa i rozmach w działaniu, jakie cechowały Wachowicza, zapewne objawiały się jeszcze pełniej niż przed wojną. Stykałem się z nim i w innych okolicznościach aniżeli tylko posiedzenia, narady czy wiece. Z Wachowiczem spowinowacony był Wiesław Kaczmarek — jego siostra była żoną Dominika Wachowicza, brata Henryka, także działacza PPS. Henryk na gruncie prywatnym okazywał się człowiekiem błyskotliwym w rozmowie, dowcipnym, ale jednocześnie jakby zamkniętym w sobie, czasami jakby nieobecnym. Niewątpliwie czuł się związany bardzo ściśle z ruchem robotniczym, z socjalizmem, ale jednocześnie widziało się, że sytuacja zawodowego działacza politycznego, bardzo przy tym ambitnego, określała w swoisty sposób jego zachowanie się i postępowanie. Ale to zacząłem dostrzegać w następnych latach, kiedy Wachowicz występował jeszcze aktywniej na politycznej scenie, a ja miałem okazję spotykać się z nim częściej w różnych okolicznościach.

Dążenia łódzkiego kierownictwa do zbudowania własnej bazy prasowej nie ograniczały się tylko do dziennika. We wrześniu 1945 r. zaczęła się ukazywać „Pobudka". Przetrwała do końca grudnia 1948 r., do czasu połączenia się prasy PPS z prasą PPR. Przez jakiś czas podpisywał ją Henryk Wachowicz. Jednak faktycznym redaktorem był Stanisław Juszczyk, z którym później przez kilka lat pracowałem w „Głosie Robotniczym", organie Komitetu Łódzkiego i Wojewódzkiego PZPR.

Redakcja tego tygodnika mieściła się zrazu przy ul. Jaracza, w budynku Wojewódzkiego Komitetu PPS, w pofabrykanckim, otoczonym ogrodem pałacyku, jakich wiele było we włókienniczej Łodzi. Później redakcja ta zajmowała pokój w lokalu „Kuriera Popularnego". Ta okoliczność sprzyjała mej współpracy z „Pobudką" — przez jakiś czas pisywałem do niej tygodniowe felietony, rzadziej artykuły na różne tematy.

Tak więc „Pobudka" wyprzedziła o miesiąc „Kurier Popularny". W jego nazwie chciano nawiązać do tradycji przedwojennego jednolitofrontowego „Dziennika Popularnego", który ukazywał się w Warszawie w latach 1937—1938, redagowany przez jednolitofrontowców z PPS i działaczy KPP. Redaktorem naczelnym był Norbert Barlicki, wybrany w 1938 r. na prezydenta Łodzi, lecz nie zatwierdzony na tym stanowisku przez sanacyjne władze. Myślę, że w tym już okresie, a następnie w czasie wojny nawiązała się głęboka więź między Wachowiczem a Barlickim. Pamięć o tym jednolitofrontowym działaczu PPS, zamordowanym w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, zapadła w Wachowiczu tak głęboko, że imię Norbert nadał synowi, który urodził mu się wkrótce po wojnie.

Organizowana w Łodzi nowa gazeta PPS nosiła w projektach nazwę „Dziennik Popularny". Przygotowano już nawet pieczątki redakcyjne z tym tytułem. Na krótko przed ukazaniem się pierwszego numeru uległ on zmianie na „Kurier Popularny". Jak wówczas mówiono, stało się to pod wpływem perswazji byłych współpracowników „Dziennika", wtedy — w 1945 r. — członków PPR. Ich krytyczny pogląd na sprawę przejęcia przez PPS tego tytułu podzieliły także władze PPR. W rezultacie powstał „Kurier Popularny", który — jak o tym pisał we wstępnym artykule w pierwszym numerze Artur Karaczewski — nawiązywać miał do tradycji prasy pepesowskiej i jednolitofrontowych tradycji „Dziennika Popularnego".

To nawiązanie do jednolitofrontowych tradycji, opowiadanie się za jednolitym frontem polskiej klasy robotniczej także w nowych powojennych warunkach, za współpracą odrodzonej PPS i PPR często można było wyczytać w artykułach publikowanych w „Kurierze". Jednocześnie mocno były eksponowane tradycje PPS, ukształtowane w ponad pięćdziesięcioletnim okresie jej istnienia, tradycje walki o niepodległość i socjalizm. Dziś, po latach, nie sięgając nawet po zszywkę tej gazety, mogę z całą stanowczością stwierdzić, że niezależnie od treści związanych z aktualnymi wydarzeniami i okolicznościami, do tego sprowadzała się

do KRN. Nowe obowiązki zmuszały go do ograniczenia swojej pracy w redakcji, choć funkcję redaktora naczelnego pełnił nadal, wnosząc istotny wkład w redagowanie pisma. Podobnie było z J. Dąbrowskim, który oprócz funkcji redaktora naczelnego działał również w Radzie Naczelnej PPS i był posłem do KRN. Przez jakiś czas pomoc w codziennej pracy redakcji, zwłaszcza w adiustowaniu materiałów, planowaniu kolumn i łamaniu zapewniał nam w redakcji „Młodzi idą", począwszy od drugiego albo trzeciego numeru, przedwojenny dziennikarz Kazimierz Rozmysłowicz. Był to dziennikarz sportowy, związany przed wojną z łódzkim „Głosem Porannym". Wkrótce podjął stałą pracę jako kierownik działu sportowego w reaktywowanym łódzkim „Ekspresie Ilustrowanym".

„Młodzi idą" poprzez osobę swojego redaktora naczelnego miało zapewnioną łączność z Centralnym Komitetem OMTUR w Warszawie. W. Kaczmarek brał udział w posiedzeniach Centralnego Komitetu, często bywał w Warszawie. Pozwalało mu to zapewne wpływać na treść pisma zgodnie z zadaniami organizacji, wytyczanymi przez kierownictwo OMTUR. W pierwszym okresie wydawania pisma były to niemal jedyne kontakty redakcji z CK. Dopiero latem 1945 r., kiedy powołano w CK wydział propagandy, można mówić o zapoczątkowaniu pewnej zorganizowanej inspiracji tygodnika ze strony władz OMTUR. Pierwszym przejawem takiej inspiracji było, przekazane na piśmie przez kierownika Wydziału Propagandy Włodzimierza Dzięciołowskiego, zalecenie podjęcia przez „Młodzi idą" tematyki prac żniwnych na ziemiach zachodnich, ze szczególnym uwzględnieniem udziału w niej młodzieży z całego kraju.

Naprawdę realna stała się taka inspiracja chyba dopiero po przeniesieniu redakcji do Warszawy. Odległość między stolicą a Łodzią była w 1945 r. duża, dojazdy i łączność telefoniczna utrudnione.

Ściślejsze więzy łączyły redakcję z łódzkim Wojewódzkim Komitetem OMTUR. Wspomniałem już o funkcjach organizacyjnych Wieśka Kaczmarka. Mnie wybrano wkrótce na przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej OMTUR. Z tej racji uczestniczyłem w pracach Komitetu Wojewódzkiego OMTUR i jego prezydium. Tak więc często tematyka pisma była omawiana na posiedzeniach prezydium, którego członkami byli niektórzy członkowie redakcyjnego kolegium (W. Kaczmarek, B. Saloni, S. Neumark, od lata 1945 r. Sergiusz Jaśkiewicz, kierownik Wydziału Propagandy WK OMTUR).

Spośród działaczy organizacji wojewódzkiej i organizacji niższych szczebli OMTUR rekrutowała się część kadry autorskiej. Korzystaliśmy też z dużej pomocy dziennikarzy „Robotnika"; między innymi pisali u nas: Edward Csato, który zamieścił szereg artykułów na tematy ideologiczne, Rudolf Lessel, Artur Karaczewski, Irena Tomska, Antoni Pokorski. Redaktorzy „Robotnika" z dużą życzliwością odnosili się do nas i do naszych poczynań. Zamieszczali w „Młodzi idą" swe prace Władysław Żelazko i Kazimierz Wojciechowski, przed wojną działacze Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych i Czerwonego Harcerstwa. K. Wojciechowskiego poznałem osobiście — mieszkał w Łodzi, odbierałem od niego pisane dla „Młodzi idą" teksty.

Zawartość tekstowa „Młodzi idą" ściśle korespondowała z tym, czym zajmowała się organizacja, a więc tematyką organizacyjną, z bogatymi elementami wychowania, działalności oświatowej i sportowej. Troską redakcji było, aby zamieszczane w tygodniku artykuły pisane były w popularnej formie. Omawiały aktualne wydarzenia, nawiązywały także do różnych wydarzeń z historii ruchu socjalistycznego.

Koła i komitety OMTUR organizowały wówczas, na miarę swych możliwości, zresztą skromnych, m.in. kluby dyskusyjne i kursy dokształcające, zespoły artystyczne, biblioteki, zespoły i kluby sportowe. Wszystko to stanowiło forum krzewienia wiedzy o socjalizmie, o nowym ustroju, do którego budowania w ten spo-

sób starały się przyciągnąć młodych ludzi, kształtując w nich postawy świadomych, współodpowiedzialnych za losy swego nowego państwa obywateli. Wszystko to znajdowało też odbicie na łamach „Młodzi idą".

Pismo miało początkowo objętość czterech, później sześciu kolumn berlińskiego formatu. Najpierw ukazywało się w odstępach dwutygodniowych, a od końca maja jako tygodnik. Pierwsza kolumna zawierała aktualia organizacyjne i polityczne, druga i trzecia — artykuły poświęcone tym dziedzinom, które były przedmiotem działalności organizacji. Kolumna ostatnia miała charakter kronikarski; wypełniona była informacjami od korespondentów z kół i komitetów OMTUR.

Oprócz współpracy dziennikarskiej z redakcją „Robotnika" istniała więź administracyjna między obiema redakcjami. Wszystkie sprawy administracyjno-finansowe i kolportażowe załatwiane były przez administrację „Robotnika". Nie działała jeszcze w tym czasie tak jak dziś centralna instytucja zajmująca się kolportażem. Był on organizowany w części przez sieć „Czytelnika", w części przez spółdzielnię wydawniczą „Książka", nieco później, gdy powstała, przez „Wiedzę" — spółdzielnię wydawniczą związaną z PPS. Jednak podstawowe znaczenie miał w tym okresie kolportaż organizowany przez przedsiębiorstwa prywatne. Część nakładu „Młodzi idą" rozprowadzana była przez administrację „Robotnika" także do poszczególnych kół i komitetów organizacji. W Łodzi urządzana była czasem sprzedaż uliczna przez członków OMTUR. Było to formą propagowania pisma wśród szerszego ogółu.

Raz zdarzyła się ku temu szczególna okazja. Gdy w sobotę łamaliśmy numer, „Polpress" nadał komunikat o zakończeniu rozmów moskiewskich i powstaniu Rządu Jedności Narodowej. Zamieściliśmy tę informację na czołówce pierwszej strony, zwiększyliśmy nakład i wkrótce omturowcy sprzedawali ten numer na ulicach Łodzi. Zrozumiałe, że w ten sposób, dzięki zbiegowi okoliczności, nasz tygodnik wyprzedził gazety codzienne.

Siedziba redakcji „Młodzi idą" mieściła się początkowo przy Piotrkowskiej 68 w lokalu „Robotnika", w małym przejściowym pokoju między sekretariatem a pokojem Jana Dąbrowskiego, natomiast administracja obu pism w następnym domu, przy Piotrkowskiej 70, w dawnym lokalu redakcji przedwojennego „Głosu Porannego". Po pewnym czasie nasza redakcja znalazła siedzibę właśnie w tym lokalu, zajmując wyłącznie do swej dyspozycji jeden pokój. Pamiętam, że prócz biurka i paru krzeseł stało w nim pianino. Czasem ktoś spośród przychodzących do redakcji próbował na nim grać. W maju 1945 r. redakcja „Młodzi idą" została przeniesiona do maleńkiego pomieszczenia w budynku zajmowanym przez Wojewódzki Komitet OMTUR przy ul. Kopernika 8. Ten sam pokoik wkrótce stał się siedzibą redakcji „Przeglądu Sportowego".

„Przegląd Sportowy", jako jeszcze jedno pismo związane z łódzką organizacją OMTUR, powstał w podobny co i „Młodzi idą" sposób. Założony został głównie z inicjatywy Wiesława Kaczmarka, który był entuzjastą sportu. W działalności kierowanej przez niego łódzkiej organizacji OMTUR sport — również dzięki takim entuzjastom, jak Wacław Zadke i Zenon Chmieliński — zajmował poczesne miejsce. Przez sport W. Kaczmarek dochodził do dziennikarstwa. Jeszcze przed wojną, jako uczeń jednego z łódzkich gimnazjów, przynosił informacje z boisk do działu sportowego „Głosu Porannego".

Stąd jego znajomość z Kazimierzem Rozmysłowiczem. Jako pilny czytelnik „Przeglądu Sportowego", znał oczywiście nazwiska czołowych polskich dziennikarzy sportowych. Część z nich w 1945 r. znalazła się w Łodzi, m.in. Tadeusz Maliszewski. Pracował w Okręgowym Urzędzie Likwidacyjnym, który sprawował pieczę nad poniemieckim mieniem w Łodzi, i jak to się wówczas zdarzało, nie tylko tam pracował, ale i mieszkał, zajmując wraz z żoną jeden pokój w biurze mieszczącym się w jednej z kamienic przy ul. Piotrkowskiej. Nie wiem, kiedy Kaczmarek i Maliszewski spotkali się po raz pierwszy i kiedy zrodziła się myśl o reaktywowaniu

„Przeglądu Sportowego" przy łódzkim OMTUR. Ale kiedy w niedzielę na początku czerwca 1945 r. na stadionie dawnego fabrycznego klubu „Zjednoczenie" odbywało się pierwsze po wojnie święto sportu omturowców z Łodzi i województwa, Kaczmarek i Maliszewski przez cały czas trwania różnorodnych zawodów, poświęcając im niewiele uwagi, omawiali zamiar przywrócenia do życia tego najbardziej popularnego pisma sportowego, proponowany skład redakcji, jej organizację, kwestię druku i wiele innych spraw związanych z odrodzeniem „Przeglądu" w Łodzi. Ponieważ, choć był to czerwiec, było tego dnia dość chłodno, to ta założycielska konferencja odbywała się w nieustannym ruchu. Nie wiem, ile razy spacerując okrążyliśmy stadion, ale na pewno był to rekord ustanowiony przy zakładaniu pisma.

Wkrótce Wiesław przywiózł z Warszawy zezwolenie dla Komitetu Wojewódzkiego OMTUR na wydawanie „Przeglądu Sportowego". Ja jeździłem do Stefana Matuszewskiego, ministra informacji i propagandy, po przydział papieru. Dopadłem go na schodach — bez większych ceregieli podpisał wymagany papierek. Takie to były wtedy czasy...

W ciągu paru tygodni „Przegląd Sportowy" zaczął się ukazywać. Jego naczelnym redaktorem został W. Kaczmarek, faktycznie kierownikiem redakcji był T. Maliszewski. W redakcji reaktywowanego „Przeglądu" pracowali także Kazimierz Gryżewski (boks i tenis) i Edmund Trojanowski (lekka atletyka) oraz Wacław Fajge (kolarstwo), który zajmował się jednocześnie administracją pisma („Przegląd Sportowy" nie miał wspólnej z „Robotnikiem" administracji). Mnie przypadła w tej redakcji funkcja sekretarza, pełniona wraz z funkcją sekretarza „Młodzi idą". Poza sekretarzowaniem pisałem o zapasach, czasem jakieś okolicznościowe (rocznicowe) teksty i tekściki.

„Przegląd Sportowy" ukazywał się w Łodzi co tydzień, w poniedziałek. Niezależnie od tego, od jesieni 1945 ukazywało się drugie w tygodniu wydanie „Przeglądu Sportowego", jako dodatek do „Młodzi idą". Po przeniesieniu się „Młodzi idą" do Warszawy redakcję dodatku przejął Edward Strzelecki, przedwojenny redaktor „Przeglądu Sportowego", zamieszkały w okolicach Warszawy. W Łodzi pod redakcją T. Maliszewskiego „Przegląd Sportowy" ukazywał się do lata 1946 roku.

Pracy w „Przeglądzie Sportowym" zawdzięczam wzbogacenie moich skromnych umiejętności dziennikarskich, jakże przydatnych, gdy w 1946 r. podjąłem pracę w dzienniku — w „Kurierze Popularnym". Ponad połowę numeru „Przeglądu" robiło się na bieżąco. Korzystaliśmy z pracy korespondentów terenowych, wykorzystując aparaty Wojewódzkiego Komitetu OMTUR do telefonicznego odbioru informacji spoza Łodzi. Między innymi współpracował z nami redaktor Jerzy Zmarzlik, działający wtedy w Katowicach. W Bydgoszczy łączyliśmy się z Feliksem Stammem, którego znajdowaliśmy w redakcji „Ilustrowanego Kuriera Polskiego". Wiadomości zagraniczne zawdzięczaliśmy głównie redakcji sportowej ČTK w Pradze, do której wykorzystując swe przedwojenne znajomości dzwonił w niedzielne wieczory Kazimierz Gryżewski.

Zebrany w ten sposób w niedzielę wieczór materiał przesyłany był do drukarni przy ul. Żwirki, gdzie znajdowały się już teksty większe, z reguły publicystyczne, skierowane do drukarni w ciągu tygodnia. Po północy jeden z wymienionych redaktorów, najczęściej był to Maliszewski, udawał się do zecerni, gdzie po zakończeniu pracy przy dziennikach brano się pod jego kierownictwem do łamania. Prócz Maliszewskiego zadanie to wykonywali i inni; po paru miesiącach powierzono je również mnie. Około godziny 8—9 rano cztero-, a później sześciostronicowy „Przegląd" był wydrukowany, do południa pojawiał się w łódzkich kioskach, był ekspediowany do innych miast. W południe w pokoiku przy ul. Kopernika spotykała się redakcja, zbiorowo oglądano numer, planowano następny. Tam przeglądano jeszcze serwis PAP, wybierano z niego informacje do druku.

Latem 1945 r. w działalności OMTUR zaczęliśmy odczuwać pewien zastój

Opadła nieco fala entuzjazmu, jaki towarzyszył pierwszym tygodniom po wyzwoleniu, najlepsze kadry poszły do wojska, wyjechały na ziemie zachodnie. Nowym impulsem do działania stał się Krajowy Zlot Aktywistów OMTUR w Katowicach w połowie września i odbyta parę dni później Ogólnokrajowa Konferencja Przodowników OMTUR w Koszęcinie.

Również w „Młodzi idą" dały się wtedy odczuć te oznaki przejściowego zastoju: nakład pisma nie tylko nie wzrastał, lecz nawet zaczął maleć. W tej sytuacji właśnie zrodziła się inicjatywa drukowania drugiego w tygodniu wydania „Przeglądu Sportowego", jako dodatku do „Młodzi idą". W samym piśmie czynione były również starania o jego ulepszenie i uczynienie go bardziej atrakcyjnym dla czytelnika. Po konferencji w Koszęcinie przy redagowaniu pisma więcej niż poprzednio zwracano uwagę na problematykę ideowo-wychowawczą. Konferencja bowiem uwypukliła znaczenie tej problematyki w pracy OMTUR.

Jesienią 1945 r. współpracę z „Młodzi idą" rozpoczął Rafał Praga i w tym czasie on wykonywał obowiązki redaktora prowadzącego. Pracę tę (nieetatowo zresztą) łączył z pracą w „Robotniku". Podjął się tego z własnej inicjatywy, rozpierała go energia, która nie znajdowała dostatecznego ujścia w „Robotniku". Chodził w wojskowym płaszczu angielskim, w którym wrócił z niemieckiej niewoli, był bardzo ruchliwy — często trudno go było złapać w celu uzgodnienia bieżących spraw redakcyjnych. Gdy groziło to spóźnieniem numeru, spieszyłem w okolice Wodnego Rynku (dziś plac Zwycięstwa), gdzie Rafał wraz z żoną mieszkał w maleńkim, jednoizbowym mieszkaniu bez tzw. wygód, w takim samym, w jakim mieszkali wówczas łódzcy robotnicy. Można go było tam zastać, gdy odsypiał nocny dyżur przy łamaniu „Robotnika". Nocne dyżury należały wtedy do obowiązków wszystkich pracowników redakcji, ale Rafał w „Robotniku" był najmłodszy (i wiekiem, i stażem, bo w Łodzi pojawił się dopiero pod koniec lata) i dyżury nocne pełnił najczęściej. Dysponował już wtedy dużym doświadczeniem, a przede wszystkim cechowała go wielka inwencja. Wprowadził wiele korzystnych zmian, szczególnie w szacie graficznej pisma. Między innymi zmienił winietę na nową, projektu Eryka Lipińskiego. Oprócz tego pojawiły się nowe działy i kąciki. Pismo ożyło, stało się bardziej atrakcyjne. Właściwie dopiero wtedy ktoś, a był nim właśnie Rafał, zaczął mi udzielać wskazówek, jak pisać, zalecał prostotę, a jednocześnie konkretność wypowiedzi. Był wymagający. Niekiedy, by go zadowolić, trzeba było opracowywać parę kolejnych wersji artykułu. Ale pismo zaczęło wtedy zwracać na siebie uwagę; satysfakcję budziło cytowanie go w przeglądach prasy w dziennikach czy w innych tygodnikach.

Rafał prowadził „Młodzi idą" do momentu przeprowadzki do Warszawy w grudniu 1945 r., kiedy to objął stanowisko redaktora naczelnego — na krótko wprawdzie, bo wkrótce bez reszty pochłonęła go organizacja Socjalistycznej Agencji Prasowej i „Ekspressu Wieczornego".

Wtedy właśnie, w styczniu 1946 r., gdy już redakcji „Młodzi idą" nie było w Warszawie, Pokorski, ówczesny sekretarz redakcji „Kuriera", zaproponował mi napisanie okolicznościowego tekstu do rocznicowego numeru.

„Kurier Popularny" wychodził wówczas już od bez mała trzech miesięcy. Pierwszy jego numer nosił datę 27 października 1945 r. Ale przygotowania do wydania codziennego organu prasowego Wojewódzkiego Komitetu PPS trwały od początku lata.

W Łodzi ukazywał się „Robotnik", ale wiadome było, że jest to tylko do czasu, że podobnie jak inne centralne pisma drukowane wówczas w Łodzi przeniesie się do Warszawy, gdy tylko stworzone zostaną ku temu odpowiednie warunki. Zabiegał o to m.in. Jan Dąbrowski, redaktor naczelny „Robotnika". Jeździł w tym celu na ziemie zachodnie, skąd pochodziła zainstalowana w odbudowanych pomieszczeniach w Alejach Jerozolimskich w Warszawie maszyna rotacyjna. W grud-

niu 1945 r. zaczęto na niej drukować „Robotnika". Jego redakcja przeniosła się do Warszawy, ale paru redaktorów pozostało w Łodzi, już od pewnego czasu tworząc trzon redakcji „Kuriera Popularnego". Byli to: Artur Karaczewski — naczelny redaktor powstałego w październiku nowego dziennika PPS, jego zastępca Rudolf Lessel i sekretarz redakcji Antoni Pokorski.

Przygotowania do wydawania „Kuriera Popularnego" zaczęły się znacznie wcześniej — już wczesnym latem 1945 r. Byłem nimi również osobiście zainteresowany. Należało przecież spodziewać się odejścia z Łodzi do Warszawy pism, z którymi byłem związany — zarówno „Młodzi idą", jak i „Przeglądu Sportowego" — lecz nie myślałem o opuszczeniu rodzinnego miasta. Jako młody dziennikarz prasy omturowej byłem w podjętych w połowie roku staraniach o powołanie wojewódzkiego organu PPS w Łodzi też nieźle zorientowany, tkwiłem już bowiem dość mocno w ówczesnym łódzkim środowisku dziennikarzy pepesowskich, a mój przyjaciel, wtedy redaktor naczelny „Młodzi idą" i „Przeglądu Sportowego", Wiesław Kaczmarek był — jak już wspomniałem — członkiem Wojewódzkiego Komitetu PPS. W działalności OMTUR spotykałem się niemal codziennie z Bronisławem Karaczewskim, skarbnikiem Wojewódzkiego Komitetu OMTUR, bratem Artura, który był przewidziany na naczelnego redaktora powstającego dziennika. Zapewne dlatego Artur, wtedy jeszcze jeden z redaktorów „Robotnika", na czerwcowej Łódzkiej Konferencji PPS został wybrany na wiceprzewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu PPS. Był także delegatem na XXVI Kongres PPS, który go powałał do Rady Naczelnej PPS. Karaczewski przybył do Łodzi z Garwolina, gdzie przeżył kilka wojennych lat. Sprzed wojny znany był z działalności dziennikarskiej i partyjnej w szeregach lwowskiej organizacji PPS, zaliczany do jej jednolitofrontowego nurtu.

Późniejsze wydarzenia i lata rozdzieliły nas. Ale z tego okresu, a zwłaszcza wspólnej z nim pracy w „Kurierze", zachowałem o tym człowieku ciepłe wspomnienie żarliwego, oddanego sprawie działacza, pełnego życzliwości dla ludzi w ogóle i dla tych, z którymi się spotykał i z którymi pracował. Tak długo jak pracowaliśmy razem, niejednokrotnie spotykałem się z przejawami jego zainteresowania moją osobą i sympatii do początkującego dziennikarza. Taki stosunek Karaczewskiego do mnie już wówczas, w pierwszym okresie naszej znajomości, był zapowiedzią, że moje nadzieje na podjęcie pracy w „Kurierze" po jego powstaniu są być może realne. A nadzieje te żywiłem, bowiem już wtedy, po kilku miesiącach pracy w redakcji „Młodzi idą", po zasmakowaniu jej w „Przeglądzie Sportowym", zacząłem traktować dziennikarstwo jako swój życiowy zawód.

Wydaje mi się, że wtedy, w 1945 r., ówczesny I sekretarz Wojewódzkiego Komitetu Henryk Wachowicz zabiegał szczególnie o zorganizowanie własnej bazy prasowej łódzkiej PPS. We własnej prasie dopatrywał się czynnika mogącego skutecznie oddziaływać na zwartość szeregów partyjnych i szerokich kręgów sympatyków PPS. Mówił o tym na Wojewódzkiej Konferencji PPS. Wachowicz był znanym na terenie Łodzi już przed wojną działaczem PPS. W końcu lat trzydziestych był sekretarzem łódzkiego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS. Pamiętam z rozmów w domu, z wypowiedzi ojca i brata, którzy z Wachowiczem spotykali się na zebraniach, wiecach i masówkach, że już wtedy uważany był za dobrego mówcę i organizatora. W dołowych szeregach pepesowskich, a w nich przecież działali ojciec i brat, wiązano z osobą Wachowicza nadzieje, wypowiadane także u nas w domu, że pokieruje on dobrze łódzką organizacją PPS; przeciwstawiano go starym działaczom, którzy unikali śmiałych wystąpień, masowych akcji, współdziałania z komunistami. Znając późniejszy stosunek Wachowicza do roli prasy, myślę, że wznowienie „Łodzianina" w postaci mutacji „Robotnika" w ostatnich latach przed wojną nastąpiło również za jego sprawą.

Gdy w 1945 r. poznałem Wachowicza, uznałem za słuszne te przedwojenne

opinie o nim. W nowych warunkach, gdy PPS stała się partią współrządzącą, inicjatywa i rozmach w działaniu, jakie cechowały Wachowicza, zapewne objawiały się jeszcze pełniej niż przed wojną. Stykałem się z nim i w innych okolicznościach aniżeli tylko posiedzenia, narady czy wiece. Z Wachowiczem spowinowacony był Wiesław Kaczmarek — jego siostra była żoną Dominika Wachowicza, brata Henryka, także działacza PPS. Henryk na gruncie prywatnym okazywał się człowiekiem błyskotliwym w rozmowie, dowcipnym, ale jednocześnie jakby zamkniętym w sobie, czasami jakby nieobecnym. Niewątpliwie czuł się związany bardzo ściśle z ruchem robotniczym, z socjalizmem, ale jednocześnie widziało się, że sytuacja zawodowego działacza politycznego, bardzo przy tym ambitnego, określała w swoisty sposób jego zachowanie się i postępowanie. Ale to zacząłem dostrzegać w następnych latach, kiedy Wachowicz występował jeszcze aktywniej na politycznej scenie, a ja miałem okazję spotykać się z nim częściej w różnych okolicznościach.

Dążenia łódzkiego kierownictwa do zbudowania własnej bazy prasowej nie ograniczały się tylko do dziennika. We wrześniu 1945 r. zaczęła się ukazywać „Pobudka". Przetrwała do końca grudnia 1948 r., do czasu połączenia się prasy PPS z prasą PPR. Przez jakiś czas podpisywał ją Henryk Wachowicz. Jednak faktycznym redaktorem był Stanisław Juszczyk, z którym później przez kilka lat pracowałem w „Głosie Robotniczym", organie Komitetu Łódzkiego i Wojewódzkiego PZPR.

Redakcja tego tygodnika mieściła się zrazu przy ul. Jaracza, w budynku Wojewódzkiego Komitetu PPS, w pofabrykanckim, otoczonym ogrodem pałacyku, jakich wiele było we włókienniczej Łodzi. Później redakcja ta zajmowała pokój w lokalu „Kuriera Popularnego". Ta okoliczność sprzyjała mej współpracy z „Pobudką" — przez jakiś czas pisywałem do niej tygodniowe felietony, rzadziej artykuły na różne tematy.

Tak więc „Pobudka" wyprzedziła o miesiąc „Kurier Popularny". W jego nazwie chciano nawiązać do tradycji przedwojennego jednolitofrontowego „Dziennika Popularnego", który ukazywał się w Warszawie w latach 1937—1938, redagowany przez jednolitofrontowców z PPS i działaczy KPP. Redaktorem naczelnym był Norbert Barlicki, wybrany w 1938 r. na prezydenta Łodzi, lecz nie zatwierdzony na tym stanowisku przez sanacyjne władze. Myślę, że w tym już okresie, a następnie w czasie wojny nawiązała się głęboka więź między Wachowiczem a Barlickim. Pamięć o tym jednolitofrontowym działaczu PPS, zamordowanym w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, zapadła w Wachowiczu tak głęboko, że imię Norbert nadał synowi, który urodził mu się wkrótce po wojnie.

Organizowana w Łodzi nowa gazeta PPS nosiła w projektach nazwę „Dziennik Popularny". Przygotowano już nawet pieczątki redakcyjne z tym tytułem. Na krótko przed ukazaniem się pierwszego numeru uległ on zmianie na „Kurier Popularny". Jak wówczas mówiono, stało się to pod wpływem perswazji byłych współpracowników „Dziennika", wtedy — w 1945 r. — członków PPR. Ich krytyczny pogląd na sprawę przejęcia przez PPS tego tytułu podzieliły także władze PPR. W rezultacie powstał „Kurier Popularny", który — jak o tym pisał we wstępnym artykule w pierwszym numerze Artur Karaczewski — nawiązywać miał do tradycji prasy pepesowskiej i jednolitofrontowych tradycji „Dziennika Popularnego".

To nawiązanie do jednolitofrontowych tradycji, opowiadanie się za jednolitym frontem polskiej klasy robotniczej także w nowych powojennych warunkach, za współpracą odrodzonej PPS i PPR często można było wyczytać w artykułach publikowanych w „Kurierze". Jednocześnie mocno były eksponowane tradycje PPS, ukształtowane w ponad pięćdziesięcioletnim okresie jej istnienia, tradycje walki o niepodległość i socjalizm. Dziś, po latach, nie sięgając nawet po zszywkę tej gazety, mogę z całą stanowczością stwierdzić, że niezależnie od treści związanych z aktualnymi wydarzeniami i okolicznościami, do tego sprowadzała się

linia przewodnia wielu publicystycznych wystąpień na łamach „Kuriera", a przede wszystkim artykułów Artura Karaczewskiego, naczelnego redaktora do wiosny 1948 r.

Jego zastępcą był Rudolf Lessel, autor artykułów na tematy gospodarcze i międzynarodowe. Sekretarzował redakcji Antoni Pokorski. I on, podobnie jak Lessel, przed powstaniem „Kuriera" pracował w „Robotniku", a pisywał na tematy polityczno-ideowe. Nie upłynął rok i Lessel przeniósł się do Warszawy. Do dawnych pracowników „Robotnika" zaliczała się także Irena Tomska, ale i ona szybko pociągnęła do stolicy. W skład zespołu w momencie jego powstania wchodził jeszcze Stanisław Wojna-Gwiaździński, przed wojną dyrektor gimnazjum i liceum w Radomsku, pisujący w tamtejszej prasie lokalnej. Najstarszy w tym gronie, dystyngowany, starannie ubrany pan, bardzo elegancki w kontaktach z innymi ludźmi, przez współpracowników poważany i lubiany. Po wojnie został członkiem PPS, jej legitymacja otworzyła mu drogę do redakcji; pisywał chętnie, i pod względem stylistycznym bardzo starannie, najczęściej recenzje teatralne i muzyczne, literackie. Ponadto był autorem stałego, zamieszczanego w rubryce „Bitki na gorąco" przynajmniej raz w tygodniu, felietonu, którego bohaterami byli członkowie łódzkiej robotniczej rodziny z przedmieścia. W ich przeżyciach, opisywanych przez Wojnę-Gwiaździńskiego, odbijały się bieżące sytuacje i wydarzenia. Cykl tych felietonów, zatytułowany później „Towarzysz Lufa ma głos" (notabene tow. Lufa był członkiem PPS), przypomina może powstałą później radiową historię Matysiaków. Sprawami miejskimi zajmował się Stefan Gelbard (Gelbert), przedwojenny dziennikarz, który tą samą problematyką zajmował się również w ukazującym się w Łodzi do września 1939 r. „Głosie Porannym". Pisał dużo, wiele notatek i czołówki na przedostatnią stronę „Kuriera". Była to typowo miejska reporterka. Gelbard był bardzo wydajny, miał rozbudowane kontakty, pracował głównie w redakcji, przez telefon zbierając informacje i natychmiast wystukując je na maszynie. Miał ambicję, aby w niedzielnym numerze zamieścić coś większego poza kolumną miejską, jakiś reportaż, jakiś artykuł. Nie był członkiem PPS, lecz Poale-Syjon Lewicy.

Pracował wreszcie w redakcji od jej powstania mój rówieśnik, szkolny kolega przed wojną i towarzysz z OMTUR Sergiusz Jaśkiewicz. W gimnazjum zaprzyjaźniliśmy się — zbliżyło nas do siebie zamiłowanie do społecznego działania, wspólne redagowanie gazetki klasowej (najpierw ściennej, a później pracowicie odbijanej przez nas na hektografie), podobne zainteresowania polityczne i ambicje. Te ostatnie dotyczyły głównie pisania. W czasie wojny znalazł się w obozie koncentracyjnym Neuen-Gamme, do Łodzi wrócił na wiosnę 1945 r. i wkrótce został kierownikiem Wydziału Propagandy WK OMTUR. Okazał się dobrym organizatorem, pełnym pomysłów i zapału do pracy. Gdy zanosił do „Robotnika" pisane przez siebie informacje o działalności OMTUR, poznał go Karaczewski jako nieźle władającego piórem i gdy powstał „Kurier", wziął do redakcji. W „Kurierze" Sergiusz zajmował się problematyką społeczną i działalnością organizacyjną PPS.

Do tego niezbyt licznego zespołu zaliczyć trzeba także T. Maliszewskiego, który do czasu przeniesienia „Przeglądu Sportowego" do Warszawy (stało się to latem 1946 r.) redagował dział sportowy. Wspomagał go Wiesiek Kaczmarek.

Niewielka to więc była redakcja. W 1946 r. przewinął się przez nią jeszcze Jan Dąbrowski, który rozstał się z „Robotnikiem" i przez kilka miesięcy pracował w „Kurierze", zamieszkując w jednym z pokoi redakcyjnych (w tym samym, w którym później pomieściła się redakcja „Pobudki"). Była także Krystyna Juchniewicz, ale gdy Dąbrowski wyjechał znów do Warszawy, odeszła i ona. Przyczyna oczywista: została żoną Dąbrowskiego. Jak członek redakcji traktowany był Albin Kępa-Różycki, przed wojną działacz PPS-Lewicy, po wyzwoleniu jeden z dyrektorów „Społem", zdaje się i członek Rady Naczelnej PPS. W „Kurierze"

odpowiadał za problematykę gospodarczą, przynosząc co kilka dni pisane głównie przez siebie artykuły i komentarze.

W tym niewielkim zespole znalazło się i dla mnie miejsce. Jesienią 1945 r. ustalono, że podejmę w nim pracę po przeniesieniu redakcji „Młodzi idą" do Warszawy. Gdy to nastąpiło, uprosiłem jeszcze o zwłokę: w lutym miałem przystąpić do egzaminu maturalnego. Zdałem go pomyślnie, ale wówczas wezwał mnie do Warszawy przewodniczący Centralnego Komitetu OMTUR Ryszard Obrączka. Rozchorował się kierujący w tym czasie pismem W. Dzięciołowski. Pragę pochłonęły wtedy całkowicie przygotowania do wydawania „Expressu Wieczornego"; w lutym rozpoczęła działalność zorganizowana przez niego Socjalistyczna Agencja Prasowa. W szczupłej kadrowo redakcji nie miał kto zastąpić Dzięciołowskiego, a na Pragę nie można już było liczyć. Nie mogłem odmówić Obrączce — byłem zresztą nadal etatowym pracownikiem redakcji „Młodzi idą", jej łódzkim przedstawicielem. Pojechałem więc do Warszawy i tam w lokalu przy ul. Mokotowskiej 3 „zrobiłem" parę numerów. Mieszkałem w tym samym budynku, w pokoju odstąpionym mi przez Kazimierę Świętochowską, jadałem w tam też znajdującej się stołówce KC OMTUR.

Pobyt mój w Warszawie trwał do połowy kwietnia. Chciałem wracać wcześniej do Łodzi. Ciągnęło mnie do domu, który zapewniał mi lepsze warunki bytowania aniżeli hotelik przy Centralnym Komitecie OMTUR. Przywiązywałem do tego wagę, gdyż nosiłem się z zamiarem podjęcia z nowym rokiem akademickim studiów na Uniwersytecie Łódzkim. Chciałem studiować i pracować. Praca zaś czekała na mnie w „Kurierze Popularnym". A w Warszawie niełatwo się żyło. Namawiał mnie do pozostania w stolicy Rafał Praga. Widział mnie w SAP lub „Expressie". Chciałem jednak wracać do Łodzi, tylko nie było to możliwe, ponieważ choroba Dzięciołowskiego się przesiągała. Sprawa rozstrzygnęła się dopiero w kuluarach posiedzenia Rady Naczelnej PPS na początku kwietnia 1946 r., w którym uczestniczyłem wraz z innymi towarzyszami z centralnego aktywu OMTUR.

Posiedzenie odbywało się w Domu Poselskim na Wiejskiej. Miałem wtedy okazję przyjrzeć się z bliska czołowym działaczom PPS. Większość z nich znałem tylko z gazet. Dyskusja była żywa. Polemiki wywołało wystąpienie Zygmunta Żuławskiego, od niedawna członka odrodzonej PPS i członka Rady Naczelnej. Dotyczyło ono roli PPS w ówczesnych warunkach, jej stosunku do PPR i PSL, udziału w zbliżających się wyborach do Sejmu. Zapamiętałem zwłaszcza pełne pasji wystąpienie Juliana Hochfelda. Charakteryzował je nieskrywany szacunek wobec adwersarza, ale jednocześnie stanowcza perswazja. Żuławski pozostał jednak przy swoim stanowisku. Za niespełna rok w wyborach do Sejmu Ustawodawczego kandydował z listy PSL.

W posiedzeniu uczestniczyli łódzcy członkowie Rady Naczelnej. W czasie przerwy zainteresował się mną Wachowicz. Przypomniał sobie, że miałem rozpocząć pracę w „Kurierze"; potwierdził to Karaczewski, który poskarżył się żartobliwie, że nie stawiłem się do pracy w redakcji. Za chwilę doszło do wymiany zdań między Wachowiczem i Obrączką. Coś tego dnia mieli do siebie, a moja sprawa stała się dogodnym pretekstem. Wachowicz czynił wyrzuty o to, że bez jego wiedzy, I sekretarza WK, znalazłem się w Warszawie. Nie było to zupełnie ścisłe. Kilka dni wcześniej Wachowicz, pracujący wówczas w stolicy na stanowisku wiceministra bezpieczeństwa publicznego, wraz z Kaczmarkiem odwiedził mnie wieczorem w moim tymczasowym mieszkaniu przy ul. Mokotowskiej. Nie było wtedy mowy o moim powrocie do Łodzi. Teraz zażądał tego od Obrączki. Obrączka się zgodził, ale z kolei on zażądał od Kaczmarka — jako wiceprzewodniczącego KC OMTUR, odpowiedzialnego m.in. za prasę OMTUR — zapewnienia, że „Młodzi idą" będą się nadal ukazywać. Stanęło na tym, że ja wracam do Łodzi, a moje miejsce w Warszawie zajmie Kaczmarek do czasu załatwienia spraw związanych z obsadą

redakcji. Wrócił Kaczmarek do Łodzi dopiero pod koniec lata; objął wówczas etat redaktora działu sportowego w „Kurierze Popularnym", zwolniony przez Maliszewskiego, który wraz z „Przeglądem Sportowym" przeniósł się do Warszawy.

W tym czasie byłem już sekretarzem redakcji. Ale najpierw przepracowałem około pół roku jako redaktor nocny. Początkowo funkcję tę pełnili kolejno wszyscy redaktorzy „Kuriera" — tak jak czyniono w „Robotniku" — ale ponieważ było to niewątpliwie uciążliwe, szukano innego rozwiązania. Umożliwiło je podjęcie przeze mnie pracy w „Kurierze". Od tego momentu Sergiusz Jaśkiewicz i ja mieliśmy pracować na zmianę co drugą noc.

Dyżur nasz zaczynał się w redakcji o godz. 19. Na biurku sekretarza redakcji gromadzono materiały, najczęściej aktualne informacje, pisane w godzinach popołudniowych, przeznaczone na pierwszą lub miejską kolumnę. Trzeba się było w tym rozejrzeć, zakwalifikować i po adiustacji „zesłać" do drukarni. Woził materiały woźny tramwajem z Piotrkowskiej 68 na ul. Żwirki 2. Wieczorem był „zsyłany" także materiał mający wypełnić miejsce przeznaczone dla działu sportowego. Około godz. 21.30 redaktor nocny jechał do drukarni (także tramwajem). Tam trzeba się było zająć łamaniem, a jednocześnie zacząć przeglądać informacje PAP (nie pamiętam, czy na wiosnę 1946 r. nie był to jeszcze „Polpress"). Informacje te były przekazywane dalekopisem z Warszawy do lokalu oddziału wojewódzkiego PAP przy ul. Piotrkowskiej w pobliżu Zamenhofa, tam je przepisywano w kilku egzemplarzach na przebitkowym papierze, a goniec zanosił je do dyżurnych redaktorów w drukarni. Wybrane informacje trzeba było opracować i dać do składania.

Łamanie było dość proste — kolumna czteroszpaltowa berlińskiego formatu nie nastręczała zbyt wielu trudności, ale mimo to wymagała co nieco od redaktora nocnego. Trzeba było zorientować się choć z grubsza w treści i rodzaju „zesłanego" przez sekretarza redakcji materiału — nie sporządzał on żadnych makiet, tylko wykazy tytułów pozycji przeznaczonych na poszczególne kolumny. Redaktor nocny rozstrzygał więc o rozmieszczeniu materiałów na kolumnie, o szerokości i sposobie złamania tytułów. W razie potrzeby trzeba było dokonać skrótu albo wybrać coś z zapasu czy z serwisu PAP dla uzupełnienia kolumny, gdy sekretarz „zesłał" materiału za mało. Była to więc praca wymagająca tempa, wyczucia i pewnej inwencji redaktorskiej.

Między pracującymi w nocy istniało swoiste współzawodnictwo: kto ładniej, ciekawiej skomponuje numer i trafniej dobierze materiał depeszowy, a zwłaszcza czołówki na pierwszej stronie. Rozstrzygała o tym opinia całego zespołu. Każdego ranka numer był przez wszystkich w redakcji starannie oglądany i oceniany, porównywany z numerami „Dziennika Łódzkiego" i „Głosu Robotniczego", pozostałych gazet ukazujących się wówczas w Łodzi.

Pierwszego dnia umówiłem się z Sergiuszem, że przez pierwsze godziny dyżuru będzie mi towarzyszył. Miałem wielką tremę i po prostu bałem się kompromitacji. Skądinąd i ze strony kierownictwa redakcji było wyrazem odwagi skierowanie mnie do pełnienia tych trudnych i odpowiedzialnych obowiązków w sposób absolutnie samodzielny. Nie chciałem zawieść zaufania i dlatego poprosiłem Jaśkiewicza o pomoc. Ale on wybrał się tego wieczoru z żoną (byli od niedawna po ślubie) do teatru, później zapewne na kolację i przyjechał do mnie około godz. 23, już do drukarni... Rozejrzał się, przekazał kilka rad i widocznie uznawszy, że poradzę sobie sam, udał się do domu. O to, czy sobie radzę, zapytał się telefonicznie przed położeniem się do łóżka Karaczewski. A ja, choć sobie rzeczywiście jakoś radziłem — owocowało doświadczenie nabyte w redakcjach „Młodzi idą" i „Przeglądu Sportowego" — to jednak numer spóźniłem, a od dużej „wpadki" uratował mnie Władysław Orłowski, wtedy redaktor nocny „Dziennika Łódzkiego". Gdy oglądałem odbitkę pierwszej strony, zajrzał mi przez ramię i zainteresował się informacją zatytułowaną przez trzy szpalty: *Bormann aresztowany*. On nie miał tej depeszy,

a to przecież sensacja. Pospiesznie przeczytał ją na mojej kolumnie i uspokojony poradził mi uczynić to samo. Okazało się, że zbyt szybko czytałem kartki PAP — Bormann nie został aresztowany (a szkoda), tylko gdzieś tam w Ameryce Południowej ktoś go rzekomo widział i o tym informował. Oczywiście dziękowałem, tytuł zmieniłem, ale opóźnienie stało się większe. A tego rodzaju wiadomości o Bormannie jeszcze nieraz miały się pojawić, do ostatnich lat włącznie.

Praca w nocy była męcząca, wyczerpywała nerwowo, ale ponieważ po jej zakończeniu miało się około czterdziestu godzin wolnego czasu, stwarzała dużo możliwości. Ten wolny czas, poza odpoczynkiem, do lata przeznaczałem na wykonywanie swych obowiązków w „Przeglądzie Sportowym" (po jego przeniesieniu do Warszawy i wyjeździe Maliszewskiego na redagowanie działu sportowego w „Kurierze", dopóki nie zajął się tym już na stałe Wiesław Kaczmarek), a jednocześnie przez cały ten okres na wykonywaną społecznie pracę w Wojewódzkim Komitecie OMTUR.

Na początku 1946 r. wybrany zostałem na sekretarza tego Komitetu, a latem przypadła mi funkcja I sekretarza. Kaczmarek, przewodniczący WK, robił „Młodzi idą" w Warszawie. W tej sytuacji, choć w Prezydium WK było dwóch etatowych członków (wiceprzewodniczący Roman Frączek i sekretarz Henryk Fisiak), przypadło mi w udziale sporo roboty. Poświęcałem jej właściwie cały pozostały po pracy w redakcji wolny czas — przewodniczyłem różnym naradom, uczestniczyłem w posiedzeniach komisji porozumiewawczej organizacji młodzieżowych, wkrótce zostałem radnym WRN, a nieco później — członkiem Wojewódzkiej Rady PPS. W godzinach popołudniowych lub w wieczory, kiedy nie miałem dyżurów w redakcji i drukarni, odwiedzałem dzielnicowe komitety, zakładowe i szkolne koła OMTUR. Czasem, ale rzadko, jeździłem do powiatowych komitetów OMTUR (Wojewódzki Komitet dysponował tylko starym, ciągle się psującym, pochodzącym z demobilu willysem).

Zrozumiałe, że w tych warunkach na nic właściwie już czasu nie starczało. Zapisałem się od nowego roku akademickiego na studia socjologiczne na Uniwersytecie Łódzkim. Wtedy, w 1946 r., wystarczyło jeszcze tylko zgłosić się z podaniem, maturą i innymi dokumentami. W 1947 r., gdy po zawaleniu roku na socjologii — bo przy tych obciążeniach czasu na naukę nie starczało — ubiegałem się o przyjęcie na Wydział Prawno-Ekonomiczny, obowiązywał już egzamin wstępny. Nie starczało też czasu na życie osobiste. Z dziewczynami na randki umawiałem się wtedy zazwyczaj w późnych godzinach wieczornych. Nic dziwnego, że ożeniłem się dopiero za parę lat, gdy już więcej było czasu do własnej dyspozycji.

To powiązanie pracy zawodowej z żywym udziałem w pracy społeczno-politycznej cechowało i innych etatowych współpracowników „Kuriera Popularnego". Sergiusz Jaśkiewicz był również członkiem wojewódzkiego kierownictwa OMTUR, o funkcjach Karaczewskiego i Kaczmarka już wspominałem, Pokorski był członkiem Rady Wojewódzkiej PPS. Mnie oprócz funkcji w OMTUR i radnego Wojewódzkiej Rady Narodowej przybyły wkrótce obowiązki ławnika Sądu Doraźnego, rozpatrującego sprawy byłych volksdeutschów, oskarżonych o przestępstwa na szkodę narodu polskiego popełnione w czasie wojny. Uczestniczyłem w rozprawach sądowych mniej więcej raz na miesiąc. Po pewnym czasie działalność tych sądów ustała, ale były to wówczas dla mnie tak silne przeżycia, że wspomnienie o nich utrwaliło się szczególnie mocno. Na szczęście z reguły rozpatrywaliśmy zarzuty nie najcięższego kalibru; raz tylko zdarzyło się, że prokurator w procesie pewnej mieszkanki Aleksandrowa zażądał kary śmierci. Gdy to piszę, znów przenika mnie zimny dreszcz, tak jak wtedy, gdy kończyło się oskarżycielskie przemówienie. Były to zawsze sprawy ludzi małych, nikczemnych, obnażających wobec nas, sądzących, swoje słabości i podłości, a przecież kiedyś butnych i czasem okrutnych, teraz zaś tchórzliwie i po krętacku się broniących. Zrozumiałe, że sprawy te budziły za-

interesowanie łodzian i trafiały na łamy prasy, ale ja — chyba dlatego, że tak je przeżywałem na rozprawach, w których mój głos przy ferowaniu wyroków się liczył — nigdy nie opisałem sprawy, w której rozpatrywaniu uczestniczyłem.

Po paru miesiącach mej pracy w charakterze redaktora nocnego nastąpiły w redakcji „Kuriera Popularnego" zmiany. Antoni Pokorski został zastępcą redaktora naczelnego, ja zaś przejąłem po nim sekretariat redakcji. Zbiegło się to z przyjęciem funkcji I sekretarza Wojewódzkiego Komitetu OMTUR. Związanym z tym zajęciom mogłem teraz oddawać się codziennie już od samego rana, do redakcji przychodziłem bowiem na godz. 10. Po przejrzeniu porannej prasy zabierałem się do montowania numeru. Wyciągałem teczkę, w której gromadziło się artykuły pracowników redakcji oraz współpracowników zewnętrznych. Mimo że zespół był szczupły, teczka była pękata. Każdy pisał sporo; wpływ na to miała chęć wypisania się, ale i honoraria: 2—3—4 zł od wiersza, stanowiące istotną część zarobków.

Wśród pracowników zewnętrznych byli tacy, którzy systematycznie z „Kurierem" współpracowali, i tacy, którzy czynili to rzadko, czasem zupełnie sporadycznie. Z niektórymi utrzymywali kontakt stali pracownicy redakcji, poczuwając się do pewnej odpowiedzialności za tematykę, którą w piśmie reprezentowali. Autorzy zewnętrzni dostarczali artykuły publicystyczne, felietony, niektórzy opracowania z prasy zagranicznej, zachodniej, do której mieli jakiś dostęp. Spośród stałych pracowników teczkę w sekretariacie redakcji zasilali wszyscy. Również ci, którzy pełnili funkcje organizacyjne, starali się od czasu do czasu coś napisać, stawali także do dyspozycji jako sprawozdawcy z różnego rodzaju zebrań, narad, wieców, akademii. Każdy zabiegał o to, aby mieć stałe miejsce w gazecie, swój kącik, rubrykę. Umożliwiało to w rezultacie częstą obecność na łamach „Kuriera", pomagało nabierać wprawy w określonych formach dziennikarskich. Dla naczelnego zerezerwowane były artykuły wstępne; szły one, składane dwuszpaltowo, na drugiej stronie, podpisywane pełnym imieniem i nazwiskiem. Wymiennie z innymi pisywał on też na trzecią stronę jednoszpaltowy felieton — jego kanwą bywał najczęściej jakiś fakt zaczerpnięty z Biuletynu Specjalnego PAP. Później niemal codziennie pojawiał się na pierwszej stronie krótki aktualny komentarz pt. „Nasze stanowisko", pisany wymiennie przez różnych członków zespołu, składany tekstem dwułamowym. Czołówki na trzeciej stronie, cieszące się podobną rangą co artykuły wstępne, pisywali różni członkowie zespołu. Czasem trafiała tam jakaś pozycja z biuletynu Socjalistycznej Agencji Prasowej. Czerpało się z niego również pozycje lżejszego kalibru na inne strony gazety; także zamieszczane w nim informacje. Informacjami, jak również reportażami służył też ukazujący się raz na tydzień biuletyn Zachodniej Agencji Prasowej. Zainteresowanie ziemiami zachodnimi i północnymi było wtedy duże ze zrozumiałych względów i ZAP pomagała redakcjom je zaspokajać. Także biuletyn informacyjny PAP zawierał zawsze coś, co w nocy nie zainteresowało redaktora nocnego, a mogło być wykorzystane dla wypełnienia kolumn przygotowywanych w sekretariacie redakcji.

Była to praca wymagająca od sekretarza redakcji czegoś więcej aniżeli tylko technicznej umiejętności wypełnienia kolumn. Od jej rezultatów zależała czytelnicza atrakcyjność poszczególnych numerów i gazety w ogóle. Nie było z nią zresztą najlepiej — pod względem wielkości nakładu „Kurier" plasował się wtedy na drugim miejscu, za „Głosem Robotniczym", pomijając oczywiście popularny „Ekpres Ilustrowany". Nakład „Kuriera" sięgał 40 tys. egz., sprzedawanych głównie w samej Łodzi, a „Głosu Robotniczego" przekraczał 100 tys. egz., rozprowadzanych także poza granicami województwa łódzkiego, m.in. w Kaliszu i Ostrowie Wielkopolskim, częściowo w sposób, z którego wykształciła się tzw. prenumerata zakładowa.

Ten uznawany za niedostateczny nakład „Kuriera" pobudzał do różnych działań propagandowych. Największą tego rodzaju akcją była w 1947 r. inicjatywa naszego wydawcy, łódzkiego oddziału Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza" (jego dyrektorem był w tym czasie W. Kaczmarek), rozprowadzenia 100 tys. kompletów złożonych z „Robotnika", „Pobudki", „Kuriera Popularnego" i „Młodzi idą". W kwietniu za pośrednictwem kół PPS i OMTUR rozprowadzono specjalne kupony w cenie 10 zł, które w dniu 1 maja można było wymienić na wspomniane komplety. Ufundowano wtedy nagrody indywidualne dla wyróżniających się kolporterów kuponów oraz Sztandar Pracy Socjalistycznej dla koła, które wykazało się najlepszymi wynikami.

Nie były to jedyne działania propagandowe mające na celu wzmożenie czytelnictwa „Kuriera Popularnego". Podejmowane były one również z okazji obchodzonych przez redakcję rocznic powstania gazety — pierwszej w 1946 i drugiej w 1947 r. (trzecia, przypadająca w październiku 1948 r., została przemilczana). Prócz okolicznościowych publikacji w gazecie dziennikarze „Kuriera" odbywali spotkania z czytelnikami, organizowane przez koła PPS. Punktem kulminacyjnym były duże zgromadzenia w sali teatru przy ul. Jaracza. Miały one charakter wieczorów autorskich, w trakcie których prezentowali się czytelnikom wszyscy redaktorzy, przedstawiając im swój warsztat, ujawniając kuchnię redakcyjną, informując o swych zainteresowaniach dziennikarskich. Potem następowała część artystyczna w wykonaniu popularnych wówczas w Łodzi aktorów.

Najważniejsza jednak w tych działaniach była troska o zawartość codziennej gazety, w czym dużą rolę odgrywał sekretarz redakcji, jakkolwiek nie tylko dobór tekstów do poszczególnych numerów należał do jego obowiązków. Głównie on sam je kwalifikował do druku, zwracał autorom do poprawienia, gdy uznawał to za konieczne, poprawiał, skracał, adiustował. Tylko najważniejsze pozycje w numerze autorzy konsultowali sami z redaktorem naczelnym lub jego zastępcą jeszcze przed złożeniem w sekretariacie, tylko też niektóre sekretarz pokazywał swoim zwierzchnikom. Zasadnicza obróbka materiałów odbywała się więc w sekretariacie redakcji — nie było przecież w „Kurierze" takich rozbudowanych, z kierownikami na czele, działów, jakie znamy w redakcjach obecnie, a sekretariat był jednoosobowy. Rola sekretarza była więc znaczna. W południe sporządzał on plan numeru, zatwierdzał go naczelny, na ogół bez większych dyskusji, po czym zaczynało się „zsyłanie" tekstów do drukarni. Zawoził je, podobnie jak wieczorem, woźny lub goniec, dokonując 3—4 kursy, też tramwajem (redakcja nie dysponowała samochodem). Ostatnie teksty przeznaczone były na kolumnę miejską, na której zarezerwowane było miejsce na napływające sukcesywnie aktualne materiały. Te kierował do składu już wieczorem redaktor nocny.

Praca w sekretariacie dziennym kończyła się około godz. 16; wówczas wszyscy redaktorzy rozchodzili się, często, jak ja, do innych zajęć, czasem do „Fraszki".

Była to kawiarnia przy ul. Piotrkowskiej 96, w dawnym domu „Siemensa", w budynku, w którym znalazły siedzibę „Czytelnik" i redakcje wydawnych przez niego pism, m.in. „Dziennika Łódzkiego" i „Szpilek". Nic więc dziwnego, że był to punkt zborny wielu dziennikarzy, przedstawicieli sfer artystycznych, czasem ludzi, którzy pragnęli się o nich otrzeć. Do kawiarni tej, powstałej tuż po wyzwoleniu Łodzi, długo nie miałem odwagi zajrzeć (wpływ na to miała wrodzona skromność i niezbyt zasobna kieszeń), nabrałem jej dopiero, gdy podjąłem pracę w „Kurierze". Podawały tam dobrą kawę i spirytus rozcieńczony sokiem wiśniowym eleganckie panie (kelnerki? właścicielki?). Wśród gości rozpoznawłem ludzi znanych mi z łamów ówczesnej łódzkiej prasy, artystów, plastyków; najbardziej charakterystyczne spośród stałych bywalców postacie Jerzego Zaruby, rysującego w „Szpilkach" czy w wydawanej przez jakiś czas również w Łodzi satyrycznej „Musze", Anatola Mikułki, redaktora naczelnego „Dziennika Łódzkiego", przybyłego z Wilna lekarza

i literata w jednej osobie. Wielu spośród wysiadujących tu często z wolna ubywało na skutek wyjazdów do Warszawy, ale wtedy, w 1946 r., było tu zawsze tłoczno. Od stolików dochodziły strzępy rozmów, dowcipy, odgłosy sporów, dyskusji. Cała ta atmosfera dla młodego adepta dziennikarstwa miała swoisty urok, ale chyba nie tylko dla niego, bo przetrwała „Fraszka" w wielu wspomnieniach, które przyszło mi czytać, choć była nie jedynym tego rodzaju lokalem. Wymienić by trzeba także „Cyganerię" przy tejże ul. Piotrkowskiej czy „Kaczkę Dziwaczkę" — maleńki lokal róg Piotrkowskiej i ul. Wigury, znany m.in. z tego, że prowadził go brat Adolfa Dymszy. Później, gdy „Fraszka" stała się mniej modna, wyskakiwaliśmy z redakcji do „Syreny", mieszczącej się w gmachu „Grand Hotelu". Nad kawiarnią w sali na I piętrze mieścił się powstały w 1945 r. teatr „Syrena", kontynuujący następnie rozpoczętą tam działalność w Warszawie. W „Syrenie", jakkolwiek wysiadywało w niej wielu aktorów, było już spokojniej i dostojniej; chodziło się do niej na kawę i wiśniaczek, a kto lubił, to i serniczek. Były to wypady najczęściej w gronie kolegów redakcyjnych; przy kawie kontynuowało się często rozmowy przerwane dopiero co w redakcji (z „Kuriera" mieliśmy tylko kilkanaście kroków).

Z wolna zespół redakcyjny się powiększał. Przybył u schyłku lata 1946 r. Wacław Piotrowski, pełniąc na przemian z Sergiuszem Jaśkiewiczem funkcję redaktora nocnego. Podejmująca na łamach gazety tematy ideologiczne, dorywczo współpracująca z „Kurierem" Stanisława Woszczyńska, w 1947 r. została etatowym pracownikiem. Robiła codziennie przegląd prasy, pisała okolicznościowe artykuły w rocznice pamiętnych wydarzeń z historii PPS i międzynarodowego ruchu robotniczego (utkwił mi w pamięci m.in. artykuł z okazji rocznicy urodzin przywódcy francuskich socjalistów Leona Bluma), interesowała się tematyką kobiecą. Jej drobna postać wzbudzała w redakcji powszechny szacunek, wiele lat życia poświęciła na działalność w szeregach PPS.

Wspomniałem już, że w teczce sekretarza redakcji „Kuriera Popularnego" gromadziły się oprócz maszynopisów pracowników redakcyjnych także artykuły nadsyłane z zewnątrz. Krąg autorów pozaredakcyjnych był dość szeroki. Liczny udział wśród nich mieli m.in. czołowi działacze PPS. Ich artykuły na aktualne tematy dość często pojawiały się na łamach „Kuriera". Pisali najczęściej z własnej inicjatywy — widocznie należało to do stylu ówczesnego działacza politycznego, by często zabierać głos na łamach prasy. Chętnie czynili to członkowie kierownictwa łódzkiej organizacji PPS. Zamieszczane były w piśmie także artykuły centralnych działaczy PPS. Redakcji dostarczała je głównie Socjalistyczna Agencja Prasowa, ale zdarzało się niekiedy, że członkowie krajowego kierownictwa PPS sami kierowali je wprost do „Kuriera", czasem na prośbę redaktora naczelnego w trakcie bezpośrednich kontaktów, czasem bez pochodzącej z redakcji inspiracji. Do takich przypadków przywiązywaliśmy w redakcji dużą wagę — dopatrywaliśmy się w nich wyrazów uznania dla „Kuriera Popularnego".

Dość często zabierał głos na łamach „Kuriera" I sekretarz WK PPS Henryk Wachowicz, przedstawiając swoją opinię na temat aktualnych zadań lub z okazji jakiejś obchodzonej przez PPS rocznicy ruchu robotniczego. Zwłaszcza trzy jego artykuły odnotowane zostały jako szczególne wydarzenia w historii stosunków między PPR i PPS. Były to „Listy do przyjaciela". Tym przyjacielem — „drogim Edwardem", jak zaczynała się pierwsza wypowiedź przywódcy PPS, członka CKW — był naczelny redaktor „Głosu Robotniczego", łódzkiego organu PPR, Edward Uzdański. Niewielki artykuł jego autorstwa, zamieszczony w „Głosie" w sierpniu 1946 r., stał się dla Wachowicza pretekstem do wystąpień prasowych, które wywołały wówczas głośne echo.

Pierwszy z tych artykułów ukazał się w pierwszą niedzielę sierpnia, następne w dwu kolejnych dniach. W sobotę rano naczelny „Kuriera" Karaczewski poinformował w redakcji, że należy oczekiwać artykułu Wachowicza przeznaczonego do

niedzielnego numeru, czyniąc to w sposób, który wzbudził w zespole duże zainteresowanie. Nie wiem, czy Karaczewski orientował się, jaka ma być treść zapowiedzianego artykułu. Oczekiwano go w redakcji z dużą niecierpliwością, snuto domysły. Był to temat rozmów przy obiedzie, na który jak codzień poszedłem w południe do redakcyjnej stołówki, i rozmów w pokojach redakcyjnych. Artykułu się nie doczekano, z wolna zaczęto rozchodzić się do domów, przez jakiś czas pozostawali jeszcze w redakcji Karaczewski i Pokorski — wtedy jeszcze sekretarz „Kuriera". Chcieli go przeczytać przed skierowaniem do druku. Jednakże pierwszym czytelnikiem zostałem ja, bowiem z soboty na niedzielę wypadła na mnie kolej w drukarni.

Już było późno, gdy właśnie do drukarni przywiózł oczekiwany maszynopis Stanisław Juszczyk. Pracował wówczas w Wydziale Propagandy WK PPS przy ul. Jaracza i chyba w jakimś stopniu przynajmniej trzeba go uważać za współautora tej publikacji. Powstała ona tego dnia; przez cały dzień Wachowicz i Juszczyk siedzieli odizolowani od zewnętrznego świata w gabinecie I sekretarza — Juszczyk przy maszynie do pisania formułował i przetwarzał w kolejne fragmenty artykułu myśli Wachowicza. Nad tekstem pracowano długo, wielokrotnie przerabiano poszczególne części. W trakcie tej pracy Wachowicz parę razy łączył się telefonicznie z towarzyszami z kierownictwa PPS w Łodzi i w Warszawie, ale — jak mi to po latach naświetlał Juszczyk — trudno było to uznać za konsultację. Spośród łódzkich działaczy w sobotę nikt nie miał możności zapoznać się z treścią artykułu, który ukazał się w druku w niedzielę i potraktowany został przez wielu czytelników jako polityczna bomba.

Tak i ja go odebrałem po pospiesznym przeczytaniu. Poinformowałem telefonicznie Karaczewskiego, że artykuł przyniesiono. Redaktor naczelny upoważnił mnie do skierowania tekstu do składu, który odbył się bardzo szybko. Poszczególne fragmenty przekazano dwu linotypistom, trzeciemu, najszybszemu, pozostałą większą część artykułu podyktowałem w celu przyspieszenia składania. Skład szybko został włamany na trzecią kolumnę.

Kłopoty się zaczęły, gdy odbitka została doręczona dyżurnemu przedstawicielowi Urzędu Kontroli Prasy. Był on uprzedzony o tekście Wachowicza, natychmiast zamówił telefoniczną rozmowę z Warszawą. Po uzyskaniu połączenia przystąpił do dyktowania jego treści komuś z drugiego końca przewodu telefonicznego. Gdy wreszcie skończył, upłynęło jeszcze sporo czasu, nim po telefonie z kolei do niego zwolnił do druku kolumnę z „Listem do przyjaciela". Najwidoczniej ktoś w Warszawie czytał, zastanawiał się, być może kogoś jeszcze informował, uzgadniał swoją decyzję. Zrozumiałe, że i ja, i drukarze niecierpliwie na nią czekaliśmy — był już czas rozpocząć druk „Kuriera".

Kolejne artykuły Wachowicza nie wywołały już takiej wśród nas emocji, a i dla czytelników były już tylko rozwinięciem treści pierwszego.

Wszystkie one wzbudziły jednak echo. W rezultacie zaciążyły nie tylko na krytycznym i nieufnym stosunku kierowniczego aktywu PPR do osoby Wachowicza, ale także dla niego samego były istotnym krokiem w jego politycznej działalności. Jej końcowym etapem stał się rok 1948, kiedy to najpierw przestał pełnić kierownicze funkcje w łódzkich i centralnych władzach PPS, a na jesieni został usunięty z jej szeregów.

W redakcji, podobnie jak w wielu ogniwach łódzkiego aktywu PPS, artykuły Wachowicza wywołały liczne dyskuje. Na ogół budziły zamierzone przez autora emocje. Wśród niektórych jednak także troskę o stan i dalszy rozwój stosunków między PPS i PPR. Emocje z wolna opadały; przyczyniły się do tego uchwały Rady Naczelnej PPS, która w kilka tygodni później zajęła stanowisko w kluczowej sprawie współdziałania z PPR. Podpisana niebawem umowa o współpracy między PPR i PPS przez niejednego działacza PPS przyjmowana była z wyraźną ulgą.

Choć zdarzały się i inne reakcje. Z ich najbardziej skrajnym wyrazem spotkałem się wtedy na centralnym forum OMTUR. Na krajowej naradzie I sekretarzy komitetów wojewódzkich padły słowa, na które w sposób, jak pamiętam, bardzo impulsywny zareplikowałem, nazywając to wystąpienie bądź to wyrazem bezgranicznej głupoty, bądź nikomu niepotrzebnej prowokacji. To i inne wystąpienia na centralnym forum sprawiły, że wśród centralnego aktywu młodzieżowego cieszyłem się określoną reputacją, której zawdzięczałem w czerwcu 1947 r. wybór na sekretarza Prezydium Rady Naczelnej OMTUR. W Łodzi natomiast, w praktyce współdziałania z ZWM, opinia ta kształtowała się w różny sposób w odczuciach działaczy bratniej organizacji młodzieżowej. Myślę, że to tłumaczyło fakt, iż w 1948 r. na delegata na kongres zjednoczeniowy organizacji młodzieżowych we Wrocławiu wybrany zostałem na konferencji w Katowicach, jako przedstawiciel centralnego aktywu, w Łodzi zaś nie uczestniczyłem już w pracach komitetów jedności powołanych przed wrocławskim kongresem.

Artykuły Wachowicza wywołały również echa prasowe. Odpowiedział mu adresat „Listów do Przyjaciela", naczelny redaktor „Głosu Robotniczego" Edward Uzdański. W „Głosie Ludu" nawiązał do artykułów Wachowicza sekretarz generalny PPR Władysław Gomułka. Również po latach historycy ruchu robotniczego w Polsce Ludowej wracają do tej sprawy. Między innymi próbują niektórzy odpowiedzieć, co doprowadziło do takiego wystąpienia działacza, który jeszcze przed wojną i później w swym postępowaniu kierował się jednolitofrontową orientacją i który niewątpliwie zaliczany był do lewicowego nurtu polskich socjalistów w okresie wojny, a w odrodzonej PPS był do tego czasu niekwestionowanym rzecznikiem bliskiej współpracy PPS i PPR oraz sojuszu polsko-radzieckiego. Pamiętam jego wystąpienie na akademii w Teatrze im. Jaracza z okazji pierwszej rocznicy wyzwolenia Łodzi: było to płomienne wezwanie do jak najściślejszego współdziałania Polski i ZSRR, prowadzącego w przyszłości do zatarcia wszelkich różnic. Na akademii wystąpienie to było przyjmowane z wielkim aplauzem, takim, jaki może wywołać utalentowany mówca; później w niektórych kołach krytykowano Wachowicza, że się zagalopował, komentowano (moim zdaniem, niesłusznie) jego wystąpienie jako apel o przekształcenie Polski w radziecką republikę związkową. Powołanie Wachowicza na wiosnę 1946 r. na stanowisko wiceministra bezpieczeństwa miało w jakimś sensie wyjątkowy charakter: ani przed nim, ani po nim nikt spośród członków PPS takiej funkcji nie pełnił. Sprawował ją tylko parę miesięcy. Zgłosił rezygnację i wrócił do Łodzi.

Myślę, że słusznie Władysław Gomułka tę dymisję i towarzyszące jej wydarzenia połączył w swym artykule z okolicznościami, jakie towarzyszyły rozpętaniu przez Wachowicza dyskusji. Jego sierpniowe artykuły, według mnie, były niewątpliwie dalszym ciągiem reakcji, jakie wystąpiły już w dniu powrotu Wachowicza do Łodzi. Tego dnia do dzielnicowych i powiatowych komitetów PPS nadany został telefonogram informujący aktyw o rezygnacji I sekretarza WK PPS z funkcji wiceministra bezpieczeństwa i komentujący ten fakt jako istotne wydarzenie w stosunkach międzypartyjnych. Na polecenie ówczesnego przewodniczącego WK OMTUR Wiesława Kaczmarka tej samej treści telefonogram został nadany do terenowych komitetów OMTUR. Pamięć o tym telefonogramie zachowałem dlatego, że uczestniczyłem w jego przekazywaniu (mówiono mi po latach, że w archiwum byłego WK PPS nie ma po nim żadnego śladu).

Poglądy wojewódzkich i centralnych działaczy jeszcze w inny sposób aniżeli za pośrednictwem artykułów były często prezentowane na łamach „Kuriera Popularnego". Ówczesne życie polityczne charakteryzowało się dużą ilością zgromadzeń politycznych, narad aktywu, posiedzeń, różnego rodzaju imprez propagandowych, jak akademie, spotkania, wieczory itp. Znajdowało to odbicie w „Kurierze" w postaci często zamieszczanych obszernych relacji z wystąpień różnych mówców

Zajmowały one niekiedy sporo miejsca — do kolumny tekstu. Niekiedy sprawozdania te zawierały omówienia wystąpień dwóch—trzech mówców, działaczy wojewódzkich czy centralnych, którzy dość często — a nieraz nie pojedynczo — przyjeżdżali do Łodzi z takich okazji. Inna rzecz, że nie wygłaszano długich przemówień, wypowiadano się żywo i niejednokrotnie przy dużym aplauzie słuchaczy, a wszystkie te zgromadzenia i imprezy odbywały się zawsze w wypełnionej sali.

Do umiejętności przemawiania przywiązywało się dużą wagę i zapewne do wystąpień odpowiednio się przygotowywano. A i słuchacze cenili sobie sztukę krasomówstwa. Orientowano się wtedy na niektórych mówców, tak jak chodzi się do teatru na niektórych aktorów. Spośród łódzkich działaczy politycznych dużą umiejętnością przemawiania wyróżniał się Wachowicz. Przemawiał dynamicznie, przykuwał uwagę słuchaczy, wywoływał ich żywe reakcje. Oddziaływały one z kolei na niego — rozgrzewał się, w rezultacie wywoływał jeszcze żywsze reakcje. Czasami, gdy się go słuchało, odnosiło się wrażenie, że następuje tu swoiste sprzężenie zwrotne — pod wpływem wywoływanych przez siebie reakcji słuchaczy mógł niekiedy powiedzieć więcej, niż początkowo zamierzał. Nie było to pozbawione, oczywiście, politycznych skutków. Tak właśnie chyba było na wspomnianej akademii w rocznicę wyzwolenia Łodzi.

Dobrym mówcą był także naczelny „Kuriera" Karaczewski. Chętnie też występował publicznie. Mówił wolno, dobitnie akcentując poszczególne słowa, długimi zdaniami — tak jak pisał, naszpikowanymi przymiotnikami i wzniosłymi określeniami, co w przemówieniu nie raziło tak jak w druku — z charakterystyczną dlań przyśpiewką rodem ze Lwowa. Lubował się w długich, rozbudowanych okresach. Czasem, gdy go słuchałem, przeżywałem obawę, że rozbudowując takie wielo-członowe zdanie w pewnym miejscu się zagubi, zatraci główną myśl — tymczasem kończył bardzo efektownie, nagradzany oklaskami.

Często wysłuchiwałem tych różnych wystąpień bądź jako słuchacz, bądź jako sprawozdawca „Kuriera", pilnie notując zasłyszane słowa. Przemówień wtedy nie nagrywano na taśmę magnetofonową, nikt też nie sporządzał stenogramów, odtwarzać przemówienie do druku w gazecie trzeba było z własnych notatek. Myślę, że nie zawsze to były — bo nie mogły być — wierne sprawozdania. Mogły one odzwierciedlać i własne poglądy swych autorów, którzy uwypuklali z tych wystąpień najbardziej to, co zgodne było z ich własnymi odczuciami, z własnym widzeniem poruszanych spraw czy z własnymi postulatami. Tym bardziej że nie było zwyczaju przedkładania tekstów sprawozdań do autoryzacji. Nikt tego nie żądał, także w redakcji nie odczuwano takiej potrzeby.

Należałoby jeszcze i o tym wspomnieć, że wkrótce zaczęliśmy się w redakcji orientować, iż te długie relacje z przemówień dla czytelników nie są najciekawsze. Dziennikarz starał się więc tekst uatrakcyjnić poprzez kondensację i eksponowanie pewnych myśli, pisał niektóre fragmenty pod tytuł, który także miał zachęcać do czytania. Nie pozostawało to bez wpływu na wierne przekazanie treści.

Warto wreszcie dodać, że — jak to zresztą wynika z tego, co napisałem poprzednio o organizacji pracy w „Kurierze" i trybie opracowywania tekstów kierowanych do druku — poza samym sprawozdawcą i dyżurnym redaktorem nikt więcej nie zaglądał do sprawozdania przed jego opublikowaniem, nie przejawiał troski, co ono zawierało. Myślę, że warto o tym dziś pamiętać, gdy sięga się po latach do tych tekstów traktowanych jako ważne przekazy historyczne, uznanych za w pełni wiarygodne.

Przypominam sobie jedno odstępstwo od takiego postępowania. Był to piękny, słoneczny dzień. Pierwsza sobota czerwca 1947 roku. W Domu Kultury Państwowych Zakładów Przemysłu Bawełnianego Nr 1 w Łodzi przy ul. Przędzalnianej odbywała się uroczystość przekształcenia Komitetu Fabrycznego PPS w Komitet Dzielnicowy, połączona z wręczeniem sztandaru. Sala wypełniona do ostatniego

miejsca, a w prezydium, oprócz członków kierownictwa łódzkiej organizacji PPS, goście licznie przybyli z Warszawy, wśród nich Edward Osóbka-Morawski, Kazimierz Rusinek, Stanisław Szwalbe. Działo się to w okresie, kiedy już zaczęło opadać napięcie w stosunkach między PPS a PPR, powodowane dyskusją na temat handlu, roli spółdzielczości i roli państwa w gospodarce. Mogło się wtedy wydawać, że wówczas gdy ciągle jeszcze pierwszoplanowym zadaniem było umacnianie młodego państwa, przesadnie dopatrywano się niebezpieczeństw ze strony zbiurokratyzowanego jego aparatu. Życie po latach w swoisty sposób zweryfikowało argumenty obu stron, wykazując, że niebezpieczeństwo biurokratyzowania się, a co za tym idzie odrywania się od mas, może być realne i w organizacjach spółdzielczych, samorządowych, wszędzie, gdzie niedostateczne okazują się instytucjonalne zapory, gdzie występuje niedowład demokracji i oddolnej kontroli. Nie była jednak ta tematyka mocno eksponowana w „Kurierze", choć oczywiście była obecna. Natomiast wiosna na łamach naszej gazety upływała pod znakiem kampanii, której celem była milionowa PPS. To hasło wydatnego wzrostu szeregów pepesowskich, wniesione przez kierownictwo partii po styczniowych wyborach do Sejmu Ustawodawczego, które praktycznie wyeliminowały Polskie Stronnictwo Ludowe z życia politycznego, podchwycone było energicznie na łamach „Kuriera", miało w jego publicystyce określony podtekst polityczny, punktowany stwierdzeniami o jedynie słusznej drodze, jaką od ponad pół wieku kroczyła PPS, drodze niepodległości i socjalizmu, zdobytym w ten sposób prawie reprezentowania polskiej klasy robotniczej. Celował w tej publicystyce Karaczewski, ale i inni autorzy „Kuriera" nie stronili od tej tematyki. Przypominam sobie współczesne oceny, że „Kurier Popularny" wyróżnia się w całej pepesowskiej prasie aktywnością w tej dziedzinie. Było to zgodne z linią łódzkiego kierownictwa PPS, opowiadającego się za współdziałaniem obu partii robotniczych, ale jednocześnie podkreślającego równorzędność i ideowo-polityczną samodzielność PPS, odwołującego się do ponad pięćdziesięcioletniego rodowodu, do przeszłości nie poddawanej żadnej krytycznej ocenie. Czasem budziło to nieufność w peperowskim aktywie, zwłaszcza w warunkach nie zawsze w pełnej harmonii przebiegającego na co dzień współdziałania.

I właśnie odbywała się wspomniana uroczystość na Przędzalnianej. W sali zatłoczonej ponad miarę atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca, i to nie od słońca, choć w późne czerwcowe popołudnie grzeje jeszcze mocno. Sprawiali to mówcy, których wypowiedzi sala zebrań przyjmowała z wielkim aplauzem. Oczywiście, tony poszczególnych przemówień były zróżnicowane, ale atmosfera panująca na sali udzielała się wszystkim zabierającym głos.

Relacja prasowa z tego zgromadzenia przypadła mnie i W. Kaczmarkowi. Wcześniej było ustalone, że ja napiszę ogólne sprawozdanie, Wiesław zaś omówi wystąpienia głównych mówców, spośród których niektórzy (ci z Warszawy) zażądali przedłożenia tekstów do autoryzacji. Było to dla mnie coś nowego. Gdy całe sprawozdanie było gotowe, znaleźliśmy gości z Warszawy w sali „Malinowej" Grand Hotelu przy kolacji, w towarzystwie Wachowicza, Karaczewskiego i innych członków kierownictwa łódzkiej PPS. Do Osóbki-Morawskiego musieliśmy zgłosić się jeszcze raz — tym razem w pokoju hotelowym — z napisanym po raz wtóry omówieniem jego wystąpienia. Dokonał w nim jeszcze własnoręcznych poprawek, lecz mimo to tekst ten jeszcze w nocy w drukarni był przyczyną kłopotów Jurka Krygiera, od niedawna pracującego w nocnej redakcji. Wzbudził on jeszcze przed drukiem zapewne podobne zainteresowanie, co przed rokiem artykuł Wachowicza.

Gdy następnego ranka znalazłem się na ulicy, spiesząc do parku w Helenowie, gdzie miało się odbyć otwarcie tradycyjnego festynu sportowego omturowców Łodzi i województwa, „Kuriera" w kioskach nie było (gazety ukazywały się wtedy w niedziele, w zwiększonej objętości i świątecznej szacie). Zaniepokojony pospie-

szyłem do redakcji. Telefonicznie złapałem jeszcze Krygiera w drukarni. Nastąpiło poważne spóźnienie, maszyna rotacyjna dopiero co ruszyła.

W Helenowie zebrało się już wiele ludzi — omturowców w strojach sportowych lub organizacyjnych (niebieskie koszule i czerwone krawaty), trochę kibiców (w całodniowym programie przewidziane były różne imprezy i pokazy sportowe), członków i sympatyków PPS i OMTUR. Znajomi dopytywali się mnie, co się stało, dlaczego „Kurier" nie wyszedł. Wreszcie otwarcie. Przemawiali Kaczmarek, Obrączka i Wachowicz, ale wszyscy już w innej aniżeli poprzedniego dnia tonacji.

Łódzkie zgromadzenie odbiło się różnym echem nie tylko w Łodzi. Także na posiedzeniach CKW PPS, gdzie — jak do nas dochodziło — poddano krytyce niektóre wystąpienia. Wydawało się — a dla mnie potwierdzeniem były także wyniki Zjazdu OMTUR w Warszawie-Otwocku — że następuje z jednej strony dalsza polaryzacja stanowisk w kierownictwie PPS, z drugiej zaś zbliżenie stanowisk kierownictw obu partii robotniczych w wielu kwestiach społeczno-gospodarczych i politycznych. Zrozumiałe, że także w łódzkim kierownictwie PPS zaczęły się różnicować stanowiska. Ale na łamach „Kuriera" nie znajdowało to odbicia.

Umowa o współdziałaniu PPS i PPR przyczyniła się do wykształcenia różnych form współpracy także między redakcjami „Kuriera Popularnego" i „Głosu Robotniczego", łódzkiego organu PPR. Inicjatywa, wychodząca od dziennikarzy peperowskich, dotyczyła pewnej koordynacji tematyki obydwu gazet, zwłaszcza w obliczu niektórych wydarzeń wewnętrznych czy międzynarodowych. Raz czy dwa nawet doszło do opracowania wspólnych numerów (choć każda gazeta ukazywała się pod własnym tytułem). Jeszcze w 1946 r., we wrześniu, wydrukowaliśmy wspólny dodatek nadzwyczajny, zawierający relację z reakcji Łodzi na osławione wystąpienie sekretarza stanu USA Byrnesa (odbył się wiec zwołany przez obie partie) i wyrażający wspólne stanowisko obu redakcji.

Od czasu do czasu — przemiennie, raz w lokalu „Głosu", raz „Kuriera" — odbywały się spotkania obu zespołów. Po części miały one charakter roboczych dyskusji, wzajemnych ocen, po części towarzyski (zastawiony stół, na nim prócz zakąsek nie tylko woda mineralna). Dyskusje odbijały czasem aktualny stan stosunków między PPS i PPR w Łodzi, ale generalnie służyły wzajemnemu poznaniu się, czy nawet zbliżeniu. Ułatwiło to w grudniu 1948 r. przejście do redakcji „Głosu Robotniczego" tym dziennikarzom „Kuriera Popularnego", którzy już po zjednoczeniu obu partii kontynuowali pracę dziennikarską w „Głosie".

Nim do tego doszło, upłynął bogaty w wydarzenia rok 1948. W łódzkiej organizacji PPS rozpoczął się on od znamiennego wydarzenia. Wyłoniony w styczniu przez wojewódzką konferencję PPS Wojewódzki Komitet nie był w stanie się ukonstytuować. Dochodziło do nas, że wysuwane są zastrzeżenia co do ponownego wyboru Wachowicza na I sekretarza. Opory powstały także wśród nowo wybranych członków Komitetu, w tym także pełniących swe funkcje w poprzedniej kadencji. Odbyło się wkrótce dramatyczne posiedzenie Rady Wojewódzkiej PPS (byłem również jej członkiem). Doszło do ostrej krytyki dotychczasowej linii politycznej w kierownictwie łódzkiej PPS. W rezultacie tego nastąpiły poważne zmiany. I sekretarzem został Wincenty Stawiński. Również Karaczewski przestał pełnić funkcję wiceprzewodniczącego WK PPS. W kwietniu odszedł ze stanowiska naczelnego redaktora, które objął Antoni Pokorski. Jego zastępcą został zrazu Tadeusz Sołtan. Po paru miesiącach Sołtan został sekretarzem Wojewódzkim Komitetu PPS, stanowisko zastępcy redaktora naczelnego zaś przypadło mnie. W składzie zespołu także zmiany. Wyjechali do Warszawy W. Piotrowski (chyba już w 1947 r. do „Przeglądu Socjalistycznego", gdy jego naczelnym został Teofil Głowacki) i Sergiusz Jaśkiewicz. Przybywają do zespołu Zofia Tarnowska, Władysław Lachowicz (on jeszcze w 1947 r.), Barbara Drzewińska, Jadwiga Pruska. W redakcji nocnej, nieco w innym systemie zmian i wypełniając również inne obowiązki,

pojawiają się Ela Cunge, Jan Bądkowski, Włodzimierz Boruński. W sekretariacie redakcji przez kilka ostatnich miesięcy „Kuriera" pracuje Szymon Weksler.

Raczej biernie ci nowi pracownicy uczestniczyli w rozwijających się teraz wewnątrz redakcji dyskusjach, jakich było wtedy wiele w różnych ogniwach PPS, w okresie już bezpośrednio poprzedzającym zjednoczenie z PPR. Wzmogły się one, również wśród nas, po wrześniowym posiedzeniu Rady Naczelnej PPS. Zrozumiałe, że musiały dotyczyć również własnych postaw w niedawnej przeszłości.

Powstał zamiar ogłoszenia wspólnego stanowiska. Trudno było jednak uzgodnić tekst, pod którym wszyscy by się podpisali. Ocenę zespołu „Kuriera Popularnego", dokonaną w jego imieniu i opublikowaną w gazecie, podpisał A. Pokorski. Była ona krytyczna i samokrytyczna. Antoni nie szczędził ostrych słów również pod własnym adresem. Czy wszystkie były zasadne i sprawiedliwe? Dziś łatwiej się nad tym zastanawiać aniżeli w ogniu toczącej się walki, z rzeczywistymi, a czasem pozornymi, może nawet wyimaginowanymi przeciwnikami.

Ostatni numer „Kuriera Popularnego" ukazał się 15 grudnia 1948 r. W artykule na pierwszej stronie redakcja witała nową zjednoczoną partię polskiej klasy robotniczej i wzywała wszystkich swych czytelników, aby od następnego dnia sięgali po „Głos Robotniczy", łódzki organ PZPR, powstały z połączenia dotychczasowego „Głosu Robotniczego" i „Kuriera Popularnego".